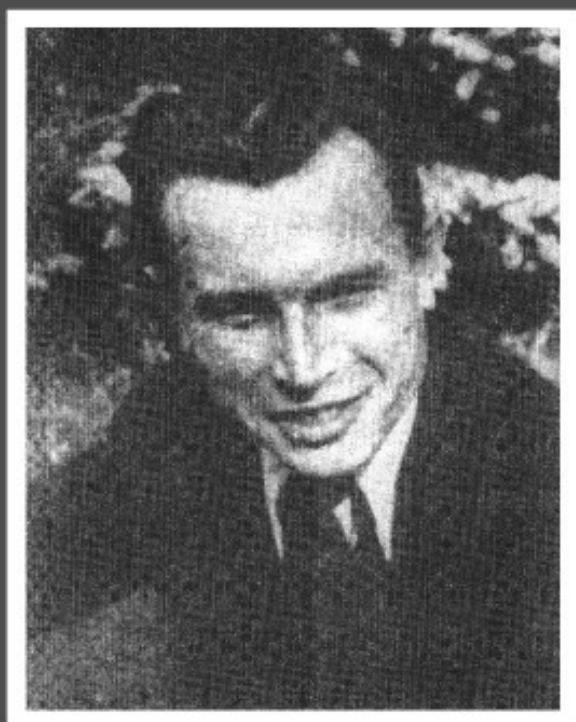


Józef Stachowski

Poezje



UTWORY NA KONKURS
"JÓZEF STACHOWSKI - POETA Z MOICH STRON"

NAWIEDZENIE

Noc jest cichym pokojem zwierzeń
muszlą pełną gwiazd
na polany wychodziły daniele
o rogach wspaniałych jak maszt

i nie wolno było karłom złym
siadać na pachnących modrzewiach
bo Twardowski w oczach miał dym
i włosy zjeżył jak grzebień

Potem wołał: O, gdybym mógł
niby kolczyk zawiesić srebrny
księżycowy puszysty róg
na gałęziach smukłych jarzębin

to bym pełnię za sobą zostawił
i śmiał się z chmur pawiookich
świszcząc w szczeliny sosen
zwierzące bure melodie —

może zamknę się w miękkich trzcinach
z labędziem i jasną dziewczyną
by pomosty jedwabne
z źrenic powodzi stawić.

POŁUDNIE

Rozsypało się słońce
migotliwe po ciężkich kłosach,
rozwalilo się pole na przelaj —
Chrzęśla w życie śmigła, oślizgła kosa,
świat jest żółty jak złocień.
Dziewczyna stanik rozpięła,
bo ciężko dzień układać w snopki.
Rżysko trzeszczy jak zeschnięty patyk...
Omdlewająco słodki
nadchodzi czas południa.
Drogą idzie Żyd garbaty
i twarz ma czerwoną,
a piach pod nogami się kruszy...
Wiśnie na drzewach takie duże
wiszą spęczniałe, zakrwawione...
Nadchodzi spocone południe.

Wiatr

Wiatr — woda
szklana szyba chrzęści
płaskie płaty są jak blask
który błyska na pól dojrzałymi jabłkami
w pędzie w dół
tłuką pięści
opodal
las jak paw trzepoczący skrzydłami
kolorowy
i znowu kark skręciła topola
w stawie
błękitne powrozy
przezroczyste tkają krople
topielice zadarły sukienki
prze - źro - czy - sto
a potem — sieje — mak
miękki
po soplach drżącej łozy.

GLÓD

Kamieniami ciężkimi jak lzy nogi spętali
— piachem słowa nie wykasz.
Sypnęli ci w gardło piachu z rudych skib,
centnarów tysiące wieźli długimi furami,
aż wyrwali ci z ust ostatni krzyk.
Miałeś ręce zdrapane krwią i pracą
jak żelaznymi zębami,
brzęczały czarne łem palce.
Księżyce
darły się po granatowym niebie w głodne noce,
białymi kulami chyliły się ku wodzie
i piły granat ciemny brzegiem rogów
— życie
lało się zieloną strugą głodu.
Przed śmiercią...
Pachniało lasem, żywicą złotawą
strumieniem mleka sytnym jak pszenny chleb
rozedrgane w takt kłosów ziarnistych serce.
Nad miękkimi puchami trawy
rybim okiem
wyplynał księżycowy sierp
i rozklejał noc żółtym miodem.
Od wierzb
ciągnęło rozbrykanym sokiem

— a tyś konał z głodu.
I sypnęli ci piachu z rudych skib!
Miliony obrzękłych rąk
rozdarło oczy przekleństwem.
Za tydzień wszyscy w krąg
zapomną,
aż przyjdzie czas, magiczne słowo zakreśli,
wydrze z płuc zeschniętych nowy krzyk,
brzęknie trumną
i stłamsi drugie serce w piersiach.

STRAPIONYM LUDZIOM

Cieniom twarzy rzuconym w grząskie dno
gdzie lin błękitną piersią bury szlam roztrąca
gdzie kwitnie paproć u sinej wargi fal
powiedzieć — — — —

Polysk opalonych kolan
bezzadne noce u płotów
a potem

próchno jak blask w źrenicach pełnych słońca.

I chłopięta nie ustawią się rzędem

i nie zadną w fujarki kręcone z wierzb o świtanu
jak w liliach wodnych

ugrzęzłe

w koszulkach białych.

Mleko zimne jak śnieg pocieknie z obfitych cebrów

— czyjeś włosy zadźwięczą niby miedź

a księżyc drwał samotny narąbie tyle srebra
przed domem na pniach kamiennych.

Teraz mięknie, opada wodny rytm,

gdzieś szczęk rozbitych lędźwi słodki plusk zajątrza,
czarni ludzie wychodzą z napęcznionych trzmielami

trzcin

wbijając w ziemię nogi martwe.

SMUTNA WIEŚ

Tylko oczy kocie na strychu
jak dwie zakopcone lampy
i południa z rozwianą grzywą
koni bułanych.

Zapomniałem: był strumień blond
niby dziecko. W kołysce malin,
przykryty chustką jarzębiny,
nocami łkał.

ORKA

Niebo przybrało, gdyż konie chcą się pławić —
pod prąd prą
długimi szyjami
w trudzie, bielejącym na postronkach chomąt.
Rozwierają zagony jak sen usta ludzi.
Skiby — pajdy razowca — rosną
linią prostą
w ugor.
Płowe oczy napelniasz powietrzem jak wodą,
chłopcze gołowasy o malinowych nogach.
Idziesz —
k'sobie chyłkiem po polu po uszach koni tnie.
Przez zmierzch,
który nozdrza ślini białą pianą,
pługiem pragniesz wypłużyć urodzaj.

PSIA MATKA

Otworzyły się oczy — dwie kulki, w których nie
było nic
prócz ziaren światła,
gdy trzasł
o czułość łap skrwawiony łańcuch.

Wieczór — maliny z mlekiem,
ziemia zaczerpnęła księżycą w dzban,
na łąkach srebrny chrzest —
szłaś wlokąc za sobą łeb jak kamień,
nogi splecione w płynnej rtęci.

Powiało
puchem szczeniąt
sercu huśtającemu mrok —
już nacichały sutki ciężkie pokarmem.
Staw i ryb śmiertelny zapach
i cztery ciała
nagle
wyłowił zastygły szum tataraków.

Niebo jest modrą malwą,
w uszach szum — motyli trzepot gwiazd,
płyniesz. Ciszej — ciszej —
po blasku plusk łap.

STRACHY

Kiedyś księżyc siwe włosy w rzece moczył
kładąc w łodzie wilgotny zapach trzciny
i dziwadłom kazał wychodzić
znad złotych łubinów.

Gdzieś na płocie wiał koszuli rękaw
ośliniony pianą gwiazd jak rosą:
po kryjomu wyszła chata do sadu
kraść spadający owoc.

Z klombów klon wyskoczył srebrny,
u kładki nastraszył dziewczkę.
Upuszczony paciorków szklanych sznurek
spryskał wodę płetwami błękitnych ryb.

Stamtąd lepki wodorost zielonych ust
po kąpieeli wyrostka napadł —
przecierały okna jak oczy chaty
pędami bosych brzoź.

ŚMIERĆ OJCA

Wczoraj połamany wiatr o gałęzie pachnącej sosny,
lejąc w sęki złota blask wołał: urośnij,
i w dzbanie dnia rozbity błękit
chyba jednej burzy się bał
w lesie klęcząc.

Nocą ogniki błędne bładziły po wargach —
było źle: wiało moczarem.

Nad ranem
nie wiadomo jaki pan
przyjechał w srebrnym płaszczu —
pod oknem (było zwykle, miało szyby szklane)
długo stał
tkliwie pyski końskie głaszcząc.
Może w blaszane wianki dzwonił,
może
wianki pachniały rogożą.

Drugiej nocy księżyc miał dziwny smak —
psy zgubione na drodze czekały gorzko
błędząc węchem po zaspach gwiazd.
Przez wodę ciemne cienie —
i srebrny pan
kołyszący lalkę z wosku.

ŚWIT

W rosie poranków modrych bieleje len
i drogi złożone na krzyż pasami płótna mokną,
gdzieś
chaty kołysane bylicy chłodem
ukłękły we śnie
— tylko zza obór krowich oczu granat
i łomot jabłek o sad.
Wkrótce zapaskę srebrną zrzuci księżyc
myjąc pod lasem śmiertelnie smutną twarz —
poleje się mleko świtu.
Swoj dom jak orzech z łuski zmroku wyjmę,
w złocie strzechy przygięty po słońce pobiegnie:
tam — niebo
jak owoców dojrzałych kosz
i drzewa upięte w bukiet ptasich krzyków.
Ostatni raz
topola
niby zielony dzwon
rtęcią gwiazd
pobieli głowę —
potem
rozwartych drzwi chałup
dotknie wiatr
czesząc jasne włosy
ciepłych od snu pacholąt.

MOJEMU BRATU

Głaz słońca codziennie pryskał na fiolecie szyb
szczerym złotem

— to świty

i czerwieńszy od nich mak przed chatą

i ty, bracie.

W oborach stukot rogów budził krowy z niedopitych
snów,

skopki cięższe od wymion gęstniały pianą

— najbielszy śnieg z najwyższych szczytów gór.

O jakie pięści śliw mieliśmy ręce rościć,

na której z grzyw jesieni płynąć

wtedy

z światami na twarzy?

Dziś —

Kazik!

Jak trudno rośnie dzień.

DOJRZEWANIE

Ciszą przedwieczną głuchł.
Kiedy słońce łbem rudym w horyzont tłukło,
mogłeś palce zamoczyć w postrzępionym krzyku
świerszczy,
który pod stopami rzeką srebrną płynął.
Myślenie staje się powolne i ciężkie:
słuchasz.
To — uchylone wierzeje ciepłych stodół
jak oczy.
Koń o różowych nozdrzach podniósł podkowę błękitną,
rozzucił piasek ostry
gasząc opalony kurz.
Chce mi się zbierać domy, rosnące w trawie,
o tyle większe nocą,
z dziećmi
po drogach się bawić —
zapachniał las sosnowy ostrożnie czesząc mrok.
Jak pisk czajki spadającej w błota
do serca tulę młodość.

URYWEK POEMATU

Czym przecierać oczy, jeśli ręce mokre od gwiazd
jasnych,

do serca przechylić jaką powietrza gałąź
spod sennych chat,
gdy księżyc bębniem srebrnym po niebie gna
i warczą jak psy o zmroku tataraki
w błękitnych beczkach sadzawek.
Sadam trzeba się ciszą łamać,
z jabłek rość pić i słodycz gruszek ssać —
zaplątany w nóg bezładny warkocz,
toczę się w powoju wieczorów pijanych.

Może krwawym owocem jarzębin
mojej siostry brzeg ust się zabarwił,
może zdejmie z oczodołów pachnące płatki bzu
marszcząc, gruźliczymi owinięta snami,
brwi złotawy gąszcz?
Księżyc w stawie rąbie srebrne drwa —
idę po długich piętrach z dzbanami pełnymi
dźwigając wieś,
paciorki szklane na szyi, rękawy białych koszul,
cudzych płuc różowy kwiat —
Miłość. Pachnie woda i noc niesiona w dłoniach.
Pręty wiklin nastroszył chłodny wiatr.

Opowiedz, jak bolały ostre wargi,
jak palił gorzcycy cierpki dym,
gdy ziemia drżemiąc pod bielą bylic
pękała w twarde rysy —

EROTYK

Niosłem w zanadrzu ciężar owoców.

Jeszcze —

tryskając rudą fontanną kiście prosa

zawadzały o serce

i usta były zwilgłe od jabłecznego soku,

i oczy

szersze niż niebo dźwigane na rękach:

to

cała wieś.

Stamtąd szedłem

myśląc, że gwiazdy mają w sobie tyle liści osik

drżących jesienią w czerwieni pękach;

reszta — echo.

Maryś —

niełatwo wiatr w dłoniach pełnych rosy

do warg podnieść i ochłodzić.

Tam dyszą sady

trąc gałęzmi o księżyc

i wybucha miłosny spazm —

tam

dni jak drzewa toporem podcięte padają

na sine chaty,

jeśli malinowe wieczory w cieniu.

Widzisz? W zaroślach rosa.

Stadło wilcze o sprężystych goleniach
przesadza jałowce,
gasi srebrne kły na wrzosach.

Jeszcze tętent
dymiący opar krwi,
las korytem płynie,
skóra, krzaki brwi.

Tymczasem my
wmurowani w ulice
na prostokątach chmur
szukamy szkliwa światła —
ani dojrzeć goryczy rozlanej przez zachód,
ni słów spienionych jak bladomleczne ogiery

w zaprzęgu

tylko śnieg — mury.

Może to dziki zegar wybija taktem
białe godziny u szyb?

Maryś —

ZŁA MIŁOŚĆ

Przyszłaś do mnie w spienionej nocy
niby w skórze zwierząt leśnych,
kiedy księżyc zielony i mokry
rzeniem drzew posypał kark.

Szyby groźnie trzaskały w palce,
ukośny bieg lodowych świec,
bandaż włosów spadając bezładnie
rzucił głowy w konieczną rzecz.

Może wilk pod oknami brodził
i zawieją sanki jakieś szły —
płynąc na dno podwójną łodzią
łowiliśmy śmiertelne sny.

Chłód na twarzy brwi czyjeś zmrużył,
kłosy srebra łuskała noc.
Świtem męczą się ciała cudze:
grzebień rzęs — dzielący płot.

ZBUNTOWANY WIERSZ

Życie na zbuntowanym łbie podnieść
podstępnie
w gardziel wpijając ostrza klów —
wiem,
że wiatr ma na plecach bęben,
pstre grzechotki u nóg,
w oczy straszy ciszą
i —
do białek gna nici krwi.

Niech spadają na serce wąskie pasemka
— to nie krople jarzębin miękko w rudy mech,
to piszę wiersz
bardziej siny niż twarz wisielca
wtedy w lesie.

Słońce rozbiłem jak kurze jajo o mętną taflę nieba,
nie przecedzisz go gałęzmi drzew,
głowę targam jak stryk,
szyi ciemność,
przez rzęsy czerwone ulewa.

I byczy kark tężeje w burej klatce,
w choinie jastrząb czesze brwi —

echa nie starczy,
gradobicia słów
wargom.

KOPANIE KARTOFLI

Żyto krwawi jak skaleczony ptak
w te dni pachnące grzybami i deszczem.
Postrzelono zająca, który kielki młode przyszedł kraść
z ziemi jadowitej i gorzkiej.

Płyną kobiety z motyką jak niebo,
z włosami żółtymi na głowie, o twarzach śniętych ryb,
na zachodzie sinieje koguci grzebień,
wzbiera w polu zajęczy krzyk.

Konamy jak krowy chore,
co racicami kopią w nocy własny grób,
zamknęci taflą szklaną innych światów,
rzucamy w kosze owal opierchłych ust.

Pod wieczór, gdy padła rosa,
zlizywał zając pod brodą pasemka puszystej krwi.
Słuchaliśmy, jak piszczał kręgosłup,
jak śrut po trawach się szklął.

DO POEZJI

Poezjo — tam gdzie rudy chart
wplątany w śnieg od bieli oślepl,
gdzie wiosną czarne przęsła tratw
po rzekach drżą — na śliskim wiośle,

gdzie rybak wsparty mruży brwi,
ty jesteś. Modre oczy krowy
w sobie cię niosą, kiedy gwint
rozluźnia obór drzwi sosnowe.

Poezjo, to z kogucich piór
trzeba ci było czapkę wsunąć
i wieczność straszyć, w chłodny nurt
paść nurkiem, spłynąć śmieszną łuną:

tak czas zatrwożyć. Ciężki dzban
z palonej gliny, pełen mleka,
przechylić w ranę cudzych warg
i jak rekruta gnać człowieka.

SAD

Stężały sad. To wiśniom tak się chciało
kamienną dłonią na martwe dachy paść,
to duszne sny pod chwiejną gwiazd powałą
otarły z twarzy odrętwień skrytych garść.

— To bury dom i ja, kłusownik zdarzeń,
ukryty w mroku bez broni i bez sił,
trafiłem w noc; już świt w jabłoniach gwarzył,
trzepotem wilgi w gałęziach gdzieś się wił.

Zabrakło tchu, lecz w śliwach było ciemno,
jelenim skokiem wypłynął słońca róg.
Jak grudy brzęk z konarów deszcz ulewny
ogłuszył drzewa. Pod płotem księżyc mókł.

NIETOPERZE

Nad gajem wisien — nietoperze,
w puszyste kule wieczność gra,
rybaków cienie, ci z wiewiórką
chodzili Boga łowić w snach.

Milczenie niby lew kamienny
oparło ziewający łeb
o węgly domu. Może w srebrnych
koszulkach chłopiąt zakwitł len.

Dumają chłopci. Fajki długie
jak flety tulą do swych ust,
to czas ucieka dymu strugą,
hamuje bieg gwiazdzisty wóz.

Wśród zwierząt przemienionych w ptaki
znaczących niebem mokry ślad
jest strumień skrzydeł. Liczę znaki
mijanych w biegu ciężkich lat.

STAMTAD

Równoległe liny chłodnych bruzd
— jamy grobów. Ptaku wieczorny,
mysi grzebień prostujesz w miękki kłus
nad polami z mgły metalowej.

Boru dreszcz. Tam świeże mleko gwiazd
świerki moczy — niebo otwarte.
Chciałbym z piersi jego napój ssać,
miać choiny zmarznięty fartuch.

O zachodzie z gliny lepić dzban,
potem wepchnąć weń dłonią księżyc:
niech trzepoce bujny, biały ptak,
niech się kłębi puszystym węzem.

Wtedy niebem szedłby mętny nów
ponad śmiercią o czole wklęsłym.
Czujna gałąź: to sen ciepłych sów
kapie z czerni sosnowych przęseł.

LAS

Gniade sosny o dzikich grzywach
— konie nocy. Drży ciemny pisk.
To jastrzębie cietrzewia biją:
mruży rzęsy pod pierzem krwi.

Jak w przerębli. Jest coraz ciasniej,
lodem zmroku zwęża się las,
lisi kołnierz — księżyc brunałny
oliwkami dziś niebo pasł.

Idę. Wyrwy z pianą tajemnic,
groźne ścieżki, grzmot sarnich nóg,
wilczym wzrokiem gdzieś próchno świeci,
spada gwiazdy jedwabny sznur.

Tylko paproć liże mi ręce
— chłodny język u burych warg.
Wabi północ. Spada ze szczękiem
w bani szklanej zgubiony czas.

NOC

Bezkolorowej nocy tętent,
sanna gubiąca ślady płóz,
do nieba przymarzył złotą pętlą
łowca pijany, Wielki Wóz.

Jak niedźwiedź tak się mrok zatacza,
w cienistym śnie brunatny lis
podpływa skomląc. Lasu tarcza
pokryta mchem zwalonych pni.

O śmierci myślę. Ciała ptaków
padały, kiedy gdzieś do mórz
konieczność gnała. Wiatr jak lakiem
ich oczy kleił. Ciężki kurz

zasypał. Wtedy liczbą martwych
mierzono srogość przyszłych zim
i czas znaczone, kiedy parte
odwilżą z gór uderzą kry.

To las się kłębi. Tylko chory
blask lisich źrenic pada w śnieg
i mróz silniejszy. Czerw pod korą
wyszywa śmierci srebrny ścieg.

SEN

Sen to liście wiecznie zielone,
mgła rzucona na źrenice ślepcy,
to słowiki nad chwiejnym balkonem
olch struchlałych z nadmiaru deszczu,

to poezja, w której się wzywa
dawne lata. — Mario, Alino,
przechodźcie bez rąk, półżywe,
jak potworki o ciele dziewczyny.

Sen to szczęście. Wszak nic nie waży
znak tajemny słonecznych zegarów,
kiedy ludzie przemieniają twarze
w maski z drzewa, rozkute rano.

ŻONY ŚWIĘTOJAŃSKIE

W świętojańskie noce, gdy paproć
jak jabłoń kwitnie na manowcach,
z choin zielone gwiazdy kapią
strasząc sarny śpiące w jałowcach.

I wychodzi wtedy panna bez czoła
owinięta w kwiaty śmiertelne,
i nie może od szczęścia zawołać
na Cygana z księżycowej wełny.

I wychodzą wtedy karły trzy
wypasione na jabłkach leśnych,
by utoczyć nieco lisiej krwi
i po piasku złote koła nakreślić.

Głowonogi dziwniejsze od snów
wyklinane przez błdych mnichów
przepływają błękitny rów
pełen światła, które odpycha.

Tajemnica narodzin się przedzie
w głębi ciał natartych żywicą —
pod nieśmiałym śpiewem jarzębin
kroczą żony świętojańskie w księżycu.

BALLADA O SKRZYPKU

Cisza śniegu. Ciemniał wąski jar.
Błady muzyk o skośnych oczach
wyszedł skrzypce z pochyłych bark
zdjąć i strzaskać zimową nocą. —

Po niebie chodził Bóg:
miał białe skrzydła
i świętych znudzonych wiecznością.
Potrząsał złotym piaskiem w klepsydrach.

Aniołowie budowali gotycki kościół
o witrażach bogatych —
po sklepieniach błdziły zwierzęta
w fioletowych kwiatach.

Muzyk jechał na zielonej krze,
jak jeżdżą senne wieloryby —
Smyk był biały, bo padał śnieg,
w struny dzwonił jak w szyby.

Kłębek wiatru ostry jedwab snuł,
aniołowie po błękitnej drabinie
schodzili poważnie w dół.
Bóg podawał korale dziewczynie.

JAWOROWA BAŚN

Zawiesiła jaworowa zieleń
u gałęzi płomyk gwiazd,
na polany wychodziły daniele
o rogach wspaniałych jak maszt —
z zielonego gaju
przy strumieniu białym
czworonogi siwe chłody piły.

Cichy starzec jasną brodę miał,
złej wilczycy bardzo się bał —
srebrne nitki kręcił,
anielicom pięknym
miękkie lotki tkął.

Może zwierz, może potwór lub ryba
co dzień czołnem tamtą rzekę przepływa —
po co nam wymiar i kształt?
Płyńcie woda mlecznym jeziorem,
gaśnie zachód wyzwolony z koloru —
po co nam wymiar i kształt?

Starzec śpiewał. Na fioletach piór
gołębice zawisły u chmur.
Pod niebieskim cieniem

stały się kamieniem,
co w noc jak echo padł.

Tak się kończy jaworowa baśń,
bo wilczyca poszła już spać —
miała łapę chorą
obmyła jeziorem —
Jutro — łapa przemieni się w kwiat.

NIEPOKÓJ

(Urywek z większej całości)

Kiedy kruki świstały skrzydłami
ponad lasem spokojnym jak staw,
przetapiałeś złoto błyskawic
w opleśnialych dębowych pniach.

Zapach kopru dochodził z pól
i było wrzosów kąpielisko —
deszcz miał wąsy długie jak sum
płynący szeroką Wisłą.

Czemu dni jak piskłeta bezradne
umierają — pytałeś drząc —
wczoraj znowu gwiazda poranna
spadła z nieba sycząc jak wąż.

Moje psy kładą pyski u stóp,
ale słońca nie mogą oswoić:
wciąż ognisty wieczoru słup
przeraża niepokojem.

Tak mówiłeś! A szatan stary
w bieli jezior zaczynał czar —
dudnił jeleń po stokach jaru,
zeszedł księżyc. I szatan zbladł.

PO BITWIE

Leżały ciała poległych na dalekim gościńcu,
pełnym igieł pachnących,
z gwiazdy na gwiazdę przeskakiwali święci
jak zwierzęta rące,
żałamywali w biegu otyłe i smutne ramiona
strząsając ciche uśmiechy z różowych dłoni
— modlitwa kapiała im z ust
jak złote krople żywicy
i niebo stawało się powoli bursztynowe.

Przykro było umarłym —
leżeli obok siwych koni
wymawiając bez szelestu warg
imiona pierwszych kobiet
o oczach łagodnych sarn
i bardzo śniadych piersiach —
nie mogli zmienić pozycji, w której zastała ich śmierć.

Choćby ojczyzna bardziej kochała niż siostra,
choćby w niebie był spokój jak na zaklętych jeziorach,
nie zastąpi nic rozkoszy ruchu,
nawet piękno aniołów,
kiedy lotki ostrzą
w księżycowym puchu.

Cóż im przyjdzie z świętych obcowania,
wielkim i smutnym?

Polegli mają oczy z białego szkła
i pragną nimi uwodzić dziewczęta,
nigdy nie uwierzą w posłanie
z ziemi sinej, sypanej w ciemne doły.

Polegli rozmawiają we śnie jak ślepcy —
nie brzydzą się swoich ran,
tylko martwe włosy chcieliby czesać
nad jasnym strumieniem.

Leżeli pełni rozpaczy. Nie chcieli wiedzieć, że Bóg
dotykał rąbkiem bogatej szaty
ich nieruchomych stóp
błogosławiąc męstwu młodości —

Marzyli o chwale płodzenia.

CZAS

Zamyślony nad złotym kołem gwiazd
spod równin na górskich łańcuchach
jak ciche kołyski wiszących — przepływa
i dymy miast
są niby róże u grzywy
wiatru.

Kiedy w pierwszych fijołków cieniu
głowa się chyli,
śpiewają srebrem rzęs choiny:
oto on,
który tworzył sanne,
który dziewczki gorszył w dziewannach,
co wśród wierszy bywał natchnieniem
i kolory wygrywał w kamieniach,
oto on w perłach dzwonów ukryty —

Zamyślony nad złotym kołem gwiazd
kometom pióra strąca,
by się stały nagie i smutne
otulone niebieskim płótnem,
jeśli zstąpi epokami dzwoniący.

Jestem cichy tak jak mój dom,
co utonął w ślazach jak w łzach.

Czemu wołam? To przecież on,
wielki zwierząt i kwiatów sprawca,
dziwotworem się mieni i zna,
jakie sny pod oknami padły.

ODLOT PTAKÓW

Gwiazdy zakwitły na szczytach topól
jak krzewy odległych wysp.
Przeciągam zorzę od czubów drzew po rżysko
sypiąc złoto
w kotliny.

Lot kaczek owinał mnie spiralą.
Oto
ku ziemi stęskniony anioł
opada pomału,
jakby szukał prawa równowagi:
lżąc spłynął.

Swoją ciszę zamienię w milczenie,
ale pióra ptasie
strącone echem z pobliskich gór
na błękitne nawłokę sznury —
w kieszenie
włożę wianek ostatnich skowronków jesieni.

O, lądy chłopięcych marzeń:
ciche pociągi wystukują wieczność —
na drogach giną Żydzi smutniejsi od bydła,

które wiedą do rzeźni.

Zamknięty w kole bocianich odlotów
jak się odnajdę?

ŁĄKI

Stogi siana pachnące jak młodość
i białych koni mokre pyski.
Noc wyczochrana z ciemnych choin
rękawem mlecznej drogi wisi.

Topielice wyjrzą z srebrnych trzcin,
leجة mroku położą na karku,
przesączy się woda sino
z oblepionych wodorostami warg.

W jasne wióry rozbity księżyc
do rąk przyczepi dzwonki srebrne,
zmoczy włosy lniane w rzece śpiącej
przechyliwszy głowę w bok.

Pokos chłodny i dłonie złowione wieczorem,
w paciorków szklanych brzęk strojne szyje dziewcząt,
parobcy niosący w zanadrzu kwiat lipowy,
ślodycz ciszy — traw puszystą miękkość.

Gdzieś
szumiała długo topiel,
błękitny lin roztrącał bury szlam.
Grabi diabeł pachnący sianem
łąki wilgotne.

STARZEC

Zmęczeniem nie natchnę cię bladym, ni drżące usta
uleczę,
gdy błądzisz długimi krokami przez wąską przestrzeń
czasu
(godziny wtedy padają spokojnie jak śnieg),
niewiele zostało ci nocy, nie wymkniesz się w mokry
wieczór.
to łąki splątane przedzą usidlić chcą twój bieg.

Stajesz na wąskiej krawędzi, z rękami w próżni
chłodnej
i czekasz: gałęzie się sypią, jak wypiek pełźnie świt.
Płowe zwierzęta rzek, walczące z taflą lodu
padają bezwładnie na wznak, szlifując srebrny mit.

Wysypką czerwieni się niebo. Jak koźla broda, trzcina
płoszy cię kruchą starością. Każesz przynieść brom.
Złote koguty pieją: tak łatwo wszystko mijać,
u stóp młodzieńców się płaszczysz chytrze jak chłonny
glon.

Starcze, jesteŝmy sami, mądrość z twojego czoła
elchaczem odbiegła cię we śnie jak jadłem znudzony
chart,
na próżno wokół jej szukać, na próżno w pustkę wołać,
dłonie ci pot przepalił w szukaniu nowego dnia.

*

*

*

To nie pagórki uśmiechające się strumieniem
rozbawionym jak dziecko w piasku,
to nie lisów puszysta sierść
kalająca czułość śniegu

— to tylko
duszny pokój z ogromnym lustrem
i własna twarz
spadająca po równi pochyłej ku śmierci.

TOPIELCY

Były gorzkie liście paproci
jak cztery podarte chorągwie
na wodzie,
kiedy dzień spadł czerwonym jabłkiem wieczoru
z horyzontu
i kiedy
spadł plusk w sitowie.
Ciało wsiąkło w topiel.
Późną porą
wyjdą na powierzchnię brzuchy jak balony wzdęte,
czerwone raki
zaczernią w burym wschodzie nocy
i wypełzną
oślinionymi kroplami do zakochanych oczu.

Z płuc czasu sączył się oddech
jak rozhułany śmiech
przez sitowie.
Może przyniósł paprocie,
by otulić
obłąkane struny serc
topielców.

WYZNANIE

Dach owinięty liliową chustką gołębi —
jak wyprana w księżycu koszula
łopoce droga mleczna.
Pieją koguty, mocząc połysk piór
w nocy jak w misie z wodą mętną.

Teraz mogę włożyć w siano kudłaty łeb
i powieki czerwone jak maki uleczyć zapachem nasion.
Słucham: na drodze siwe nogi chłopców
kopią dojrzałe jabłka.

Pewno dzisiaj zsiniało mi serce
niby śliwka pod okiem podbitym
(nie pamiętam pokaleczonych w dzieciństwie rąk
o ciężkie snopy żyta).

PO ZACHODZIE

Zamurowano w zorzy dzień,
Umęczono śpiewem słowików
i rzucono gwiazdy w wodę
jak się rzuca błyszczące kamyki.

Obrócona do góry dnem
miele piasek w młynie wieczności
rzeka pełna aniołów
białych jak młynarczyki.

Teraz słyszę: to dojrzewają
w łonach matek ciała niemowląt,
to Bóg pozbawiony powagi
wiesza księżyc jak białą pochodnię.

NARODZINY

Sponad kalin kalinowe pieśni
szklane łątki tulą zapach łąk
dalej
stoi młynarczyk biały
słucha jak kwiaty mrą

Oto oślepl jedyny anioł
pod oknami rył się niby kret
modrzewiowe huczały ściany
po komnatach błędziły panny
w sukniach z trenem

Śpiewał dach świergotał wróbli lot
a młyńskim kołom brakło strun
białe dłonie u czarnej Cyganki
siwy koń nad chłodnym ruczajem
w ślazach chróściany płot

Dokąd gnały cię gwiazdy wśród drzeń
cichych wiązków i przekwitłych lip
czy pamiętasz przygody i sny
zawieszony w księżycowym cieniu?

PIOSENKA

Dziś stwórca zgubił księżyc
i niebo jest bez gwiazd,
nie upadnij w jezioro lęku
warkoczami jak kwiatami splątana.

Spójrz, bagnety jak smyczki grają,
pod malwami żołnierze śpią,
aniołowie odwiedzają umarłych,
obsypują drżącymi lotkami.

Na granicy ludzi i zwierząt
jest Ojczyzna piękna jak pieśń,
w zamyśleniu pszczoł rozlewna,
modrzewiowa i złotopszenna

jesteś ty, jestem ja i więcej,
traw przejrzystość czy dzwony rzeki,
to wystarczy, aby uwieńczyć,
jeśli znowu będą polegli.

14. V. 1939 r.

*

*

*

Zachód naniósł obłoków złotych
i pachniało w cieniu smukłych skrzypów,
bór skrzypowy był piękny jak gotyk,
miał witraże i kolumn bez liku.

A jeziora nie były taflami,
lecz błękitnymi w siwe kwiaty haftowanymi obrusami.

Czymże jestem, zawołał człowiek,
jeśli wokół aż tyle nieba?
Ziemi pragnę. W ciszy mych powiek
ziemia śni się i krew i chleby.

Po co żyć tu, gdzie drżą fioletem
dzwonki letnie u białych wód?
Będę gardził i grał na flecie
płowym deszczem, gdy przyjdzie głód.

Daj mi tylko, wyzwól od uroków
milego piękna i rajskich jabłoni,
daj mi tedy ludzki niepokój,
Ty, co w świerszczach wieczornych dzwonisz.

OPOWIADANIE

Były to lata, gdy rzeki dźwigały leniwe potwory,
Które w ogrodach jaskrów świecąc jak srebrne ule
nienawidziły księżyca, bo zwykł nad nimi kołować,
jak ptactwo dalekiej północy pierzastą, drapieżną kulą.

A kwiaty rosły jak ludzie. Podstępne i bardzo piękne,
zwabiwszy ku sobie zwierzęta trującą, lecz słodką

mgłą,
biły je głową o brzegi, rzucały grzyw złotym pękiem,
aż marły stada obłoków i drżał od jęków ląd.

Kwiaty rządziły ziemią. Potwory walczyły z księżycem,
który szklanymi grotami jak łodzią wodę pruć,
i cienie padały w jeziora dziwaczne znacząc ulice,
i przycichł planet wir zastygły w zgrzycie kół.

Oto nadchodził świt. Na niebie ostrzone topory,
a ogień gorzał u gwiazd, kometom palił warkocze.
Daj słońce, wołała ziemia, daj słońce jak miedź

czerwone,
pozwól wilgocią poranka znużone wargi zmoczyć.

Pałało jak złoty żółw, płynęło jak żagiel krwawy,
klaskały w dłonie jesiony, wybuchał zorzy pęk,
wtedy narodził się człowiek w cieniu ogromnej malwy
i tratwą jodłową wyruszył kołysać jezior krąg.

PODRÓŻ

Urzeczony chłodem modrzewi
na skraju polan
przywoływał sine mewy
z jeziora.

Gdy u stóp zasypiały rzędem,
nenufary układał srebrne
albo gwiazdę strącał w wodę.
Białe leszcze kołysały trzciny,
białe leszcze ku gwieździe szły
jak ku kwiatowi.

A po niebie niedźwiedzica błędziła,
a wśród boru sarny płakały.
Pod nogami było ciemne lustro,
księżyc na nim porozkładał chusty
i schodziły ku łodzi jelenie.

Więc uwierzył w kształtów doskonałość
i w szaleństwo dla krzewu zieleni
i że sny są, i że jest ziemia.

Wtedy smutny wiosłami bił
płasko i miękko

otoczony pierścieniem ryb
bardzo wielkich.

A po niebie niedźwiedzica błądziła,
a wśród boru sarny płakały.

*

*

*

Oderwany od złych obłoków,
jak wielki ptak,
dzierżyłeś kamienny topór
nawet w snach.

Barbarzyńskie pełniły się noce,
aż na niebie ognista karoca,
Wielki Wóz, jak go zwano wszędzie,
kryształowe pogubił obręcze.

Jakże łatwo było ci chłostać
ścięte w piękne linie liście ostu,
co ma kwiaty koloru rzek,
a owoce bielsze od śniegu.

Pycha żarła twój brązowy tors,
spity wzgardą śmiałeś się w głos,
depcząc plugawymi nogami
jasne lilie i złote dziewanny.

Ziemio, ziemio, groźne są pieśni,
którem słyszał u twego dna,
daj nam siłę serca i pięści
i jutrenki drżące jak ła.

*

*

*

Morze światła. Piskliwe jaskółki
loty miały kręte, błyskawiczne,
tuż przy ziemi. Ze smukłych pagórków
lał się blask, niby nurt liryczny.

Nie wiadomo, jaki czarodziej
smyczkiem lekko przesuwiał po niebie —
i szły dźwięki. I tak było co dzień:
muzycznie i srebrnie.

Wtedy wstawał jak strącony anioł
człowiek. Nagi, o dłoniach olbrzyma.
Drżał z rozkoszy. Chciał, by owo granie
w czasie zatrzymać.

Lewą ręką zataczał koło,
jakby groźne odczyniał uroki,
szeptał słowa trwożliwe jak gołąb
lasom — pagórkowym stokom.

— Coraz chciwiej i coraz boleśniej
muszę trawić słońce, łązy, godziny
i kosztować najgorszych pieśni,
i wkrótce minąć.

Sam żądałem, byś nas usunął
z trującego ogrodu omamień,
lecz napiąłeś skrzypcową strunę,
mnie, wiatr i kamień.

Przeto krążę niby w zdumieniu
w wiecznej muzyce
po tych samych ogrodach i cieniach,
co od księżycy.

Choćbym wielki był, przecież nikły,
pełen bojaźni —
wiem, że pachniesz wśród bzów rozkwitłych
zwodząc i drażniąc.

Ciągłym jeno ścigasz mnie czarem
ziemnym, wodnym, ponadobłocznym,
gdzieś w jaskółczych zgubiony gwarach,
kiedy odpocznę?

Ucichł. W światel boskiej harmonii,
nic nie widział prócz mgły i blasku,
a czar szedł i grał, i dzwonił
po mokrych piaskach.

SZWIECĄCE DRZEWA

Drzewa w przestrzeni świecące
jak sny lub meteory,
przelotnych ptaków koncert,
zwierzęta, wiatr i gorycz.

Psów szczekanie cieniutkie
jak drucik mózg nakłuwa,
serce jak kruchą łódkę
wiodę przez cień czy smutek.

Odejdźcie już ode mnie
wilcy, leśni orłowie
i ty, co żyjesz w Niemnie,
rybo o złotej głowie.

Rzeczy z zewnątrz nie mają
żadnej mocy ni wątku,
bezsensu czujny pająk
podpatrzył je, poplątał.

Któż mi przeto kompasem
będzie w krainie grozy,
ciało jak próżną wazę
obmyje chłodem rosy?

Kto wtargnie w żył roślinność
i nerwy jak jutrzeńki
wizją zapali inną,
myśl rozwinie jak wstęgi?

Ani drzewa świecące,
choć tak bliskie o zmroku,
ni zwierzęca gorącość,
ni wiatr, który u progu.

*

*

*

Nadchodził czas potworów, jaki nie zdarzał się
w snach,
miasta i wsie płonęły, noce się rwały od krzyków,
a niebo było jak blacha albo jak wielka kra,
zawsze martwe i sine, połyskujące jak nikiel.

Krok barbarzyńcy huczał, gdzie matki przedły len,
gdzie jaworowe baśnie utkały liść jaworów:
krok barbarzyńcy huczał, przestrzeń rozwierał jak sień,
krew sprzedawano na placach, szedł targ o krew
czerwoną.

Bóg nie chodził po ziemi, cherubin sobie spał,
ukrywszy głowę w skrzydłach nie znał smutku
umarłych —
umarli pisali po murach kredą olbrzymi znak
i odchodzili niemi jak ptactwo groźnymi rzędami.

Jakże nie myśleć o zemście? Padnie jak wielki cień,
ogni miedziane grzywy otoczą ulic gardła,
zapłoną inne miasta, zagasną inne wsie,
aż niebo pęknie od dymów, tak będzie straszne
i czarne.

BOMBARDOWANIE

Gmachy, które runęły jak wielkie świeczniki,
a z nieba potop krwawy,
kobiety klęczące w nawach,
pospólstwa ryk
i konie o grzywach czerwonych, konie błyszczące jak
mika.

Trafiony bombą dom —
głowa mężczyzny trzepoce, jak czarny ptak trzepoce,
słońce niby zerwany dzwon
spada w rozbite kominy —
płonący mosiądz.

Tutaj kamienie padają, by szaty porwać dziewczętom,
by w nagość ich młodych ciał, jak w różę zakwitł bruk,
a tam znów starcy szaleją: powieki zwierają w lęku
i włos im srebrny się jeży.
Tak psy, gdy blisko wróg,
wietrzą u wierzej.

Dalej zaś matki brzemiennie drżą przed urokiem
płomienia
i roje niemowląt potworków widzą na świeżej
murawie —

te niby koty zdziczałe miauczą. Jakże je zmienisz,
jeśli są sierścią porośłe, jeśli są sine i czarne?

To złuda. Wszystko jest złudą. Rozerwij snu zasłonę,
żołnierzu, coś podparł się dłonią, jak człowiek nad
wodą marzący,
posłuchaj, jak bardzo wyją gwiazdy bezsenne i rude
leniwie po niebie błędząc
albo jak szemrzą gromady oślepych i siwych aniołów.

I wołaj, mów ze światów, co są jak ty niewymierne,
że po to jawią się sny, by wstać. A kto z pościeli
rozedrzeć pragnie ciemność,
zbyt się ośmielił.

Więc nie jest to pieśń o żołnierzu w ostatnim ataku
zastygłym.

MIASTO W SIECI

Przychodzisz do mnie nocą. Łodzią olbrzymią płyniesz
bijąc wiosłami ulic powietrza ciemną wodę.

O, miasto schwytane w sieci, jak smutna polarna ryba
drżące bez łuski dachów, ciche, wielkie i głodne.

Warszawo, czemu wskazujesz swą brew jak dzban
rozbitą

i gubisz rzęsy ogrodów kamienne, ścięte w lód;
ścigany maligną zjawy otwieram okno dysząc,
a domy stoją w srebrze niby melodia nut.

I muszę iść ku tobie. Jeszcze twoje biodra dymią,
wróbli je lot opasał, gołębi miękki fiolet,
a przecież nie ma uroków, jest tylko krwawy wodopój,
tylko jest widmo ułanek i gwiazda stygnąca w polu.

WAWERSKIE NOCE

Nam tylko wżgardę nieść
morderczym wawerskim nocom,
zastygamy ramieniem w pięść,
w snach widzimy pożarów złocien.

Przez Warszawę wali się tłum
drętwych twarzy. Staje na placach,
a tam głodnych gołębi szum
spada z krzyży na groby kwiatem.

Z rozpalonych w zachodzie wież
sypie się blachy srebrne próchno,
czerwień cegieł napoczał zmierzch,
płomień dziejów nad miastem struchlał.

Jeszcze tylko zaulek gra —
siedzi w karczmie smutny pianista,
płyną tony i pełźnie strach,
jakbyś biesią melodię świstał.

Jakbyś żyłę rozwarł i krew,
rudą krew jak Wisła o świcie,
cisnął widzom na siny śnieg
i zaczął, aż umkną widze —

Na Powiślu zaulek gra —
ciche tony, biesia melodia,
zobaczyłem pożary w snach,
złotą różę upuścił zbrodniarz.

PO LEKTURZE „NOWEGO KURIERA“

Coraz bardziej chrypi mój głos,
gdy zataczam się oślepy i bierny —
wiozą Boga (smutny i bosi)
zamkniętego w samochodzie pancernym.

Wypełniło się. Oto On
wraz z bombami na ziemię spada,
Chrystus zburzył linię Maginot,
poddął Paryż i Calais podpałił.

Jeszcze Londyn, New York i Moskwa
zbuntowane przeciwko Panu.
Błogosławi papież powietrzne wojska
lecące przeciw polskim tyranom.

A mnie głos się załamał i krew
zamiast łez po oczach się toczy,
Boże ptactwa, kwiatów i drzew
owinięty w srebrne warkocze —

PO KLĘSCIE

Zawieszony między ścianami własnego pokoju a próżnią, jaka się we mnie zaległa od chwili zbombardowania serca, twarz miałem wyschniętą i długą, oczy ukośne i uszy ogromne, dostosowane do odpędzania much warczących niewinnie jak kule w około mojego czoła i włosów rudych jak ogień.

Jakże mogłem wtedy wyciągać spod gruzów zesztywniałe nogi zabitych, niejednokrotnie obute w błyszczące lakierki?

Tym bardziej, że stałem się psem.

Bo człowiekowi chyba nie wolno spokojnie jadać z nosem spuszczonego ku ziemi w sąsiedztwie trupów, pełnych rozpacz, że śmierć im przerwała wspaniały szal zabijania, i chyba nie jest człowiekiem, kto wyje nad własnym nieszczęściem. Wtedy niebo było olbrzymie jak morze, a grzywy gwiazd z łoskotem spadały w walące się domy.

A ja w psiej skórze, porosły sierścią, z pianą u pyska szalałem pragnąć krwi, jak pierwsi chrześcijanie pragnęli Ciała i Krwi Pańskiej. Teraz leżę spokojnie w barłogu, z obrożą na szyi, ale łapy kosmate drżą i szaleją.

CISZA

Cisza, jaką darował mi anioł, ten sam, co jest stróżem mojej biednej ojczyzny, który pragnął wzruszyć wielkie oblicze Boga, gwarzącego ze świętymi o świętej teologii w pierwszym dniu bombardowania Warszawy, cisza zaczajona w huku wrogich motorów, w butach żołnierskich, gdy gwoźdźmi zgarniają krew umarłych tak młodo, wiąże mi usta w supły. Jestem jak rzecz odarty z wszelkiej żądy i nie mogą mnie wyłamać z boskiej równowagi ani polowania na ludzi w miastach, ani na zwierzęta po lasach. Nie osłabia mej woli trwania, która z nieba jest jako jego cel jedyny i ostateczny, uśmiechy osób krążących pod bramami domów, smutnych od własnej podłości. Ani widok dzieci wrześnieowych, co z łona matek wyszły nieżywe, aby rodzicom obrzydzić rozkosz płodzenia. Ani wołania plakatów o nowe ofiary na rzecz zwycięstwa Niemiec. A jednak da się na wątłych ramionach udźwignąć śmierci aż tyle! Oto księżyc pogubił wiele piór białych, że mógłbyś brodzić w puchu jak w trawie. Oto gwiazda śmiejąca się do sąsiadki staruszki. I pies, co przyszedł do mnie z drugiego piętra od wdowy po kapitanie poległym, prosząc złotymi oczyma o kawałek chleba.

To wystarczy, aby zejść w siebie po schodach
zwątpienia i dojść do prawd sformułowanych jaśniej
niż te, które rządzą obrotem ciał niebieskich.

PIEŚŃ O NIEWIEDZY

1

Kto mi serce do łez rozjątrzył,
zwierzące noce słał pod głowę,
że jak ptak byłem gorejący
w przestrzeni brodząc fioletowej — —

kto stukał wieczorami w drzwi,
w czuwania porę, kto mnie trwożył,
kiedy okiennic białe płótno
na wietrze drzy,
a psy, spuszczone, gdzieś obrożą
dzwonią smutne — —

gdy słyhać tylko wielki szum
muszli z odległych brzegów,
jakbyś bolesnych dotknął strun —
Serbów albo Norwegów.

Topole rwące przez powietrze
niby z pagórków nurt wiślany
spływały w niebo chłodnym dreszczem
kojąc niewiedzy mojej rany,

gorzkiej, trującej, jak ów chleb
rzucany głodnym, by plwali,

jeśli płomień odnowień krzepł
piękna cieniem wśród grozy zwałisk.

W niemym tedy wołaniu zastygły,
przerażony warg własnych szelestem
węzom złudy ucinalem skrzydła
nie śmiejący wyjąkać: jestem.

2

Mądrości, która z planetarnych
dróg strącasz kurze szczerozłote,
czczość myśli napełń płodnym ziarnem,
ciemność rozbij świszczącym młotem.

Niech odpadnie, co niepotrzebne,
niech zostanie to, co tworzące,
aż do kości, aż do szpiku nas przewiej
oddechem palącym.

Gwiazdy, gwiazdy się pasą
na stepie niebieskim,
a my nic nie widzimy
snem ujęci ziemskim.

Ziemia krwią opływa,
jak zranione zwierzę,
spici modrym niebem
nie umiemy wierzyć.

Do boskiej równowagi
dojść nie pozwala smutek,

a w oczach pełno srebra,
jak w pękach niezabudek.

3

Jakich kluczy użyć potrzeba,
aby dzień dzisiejszy otworzyć,
zabijani w niesłusznych gniewach
odnajdą może.

Ich to czujemy dotyk
na swoich twarzach
chłodny jak blask,
gdy oni
na skrzydłach śmierci się waząc
uczą, co myśleć należy
o ludziach, ptakach i drzewach;
oni to wzgardą syci
mijają czas
i w złoty niewód
w bezbarwnym kołując powietrzu zgarniają gwiazd
okruchy,
a glob splakany drży i jęczy głucho.

Więc cóż, że z nami są? Ich mądrość inna.
Bielą porasta klon, wiatr gorycz sieje
i świerszcze grają pieśń u progów, przy kominach,
i dym wychodzi z chat. Koguty pieją.

W barwach się mieni
poranek parny.

Wielkość milczenia
wiąże umarłych.

Tryskają ognie z dalekich stron,
dzieci w kołyskach bawią się bronią,
gdzieś owad brzęczy nad czarną wodą,
obłoków połysk jak połysk piór —
z mgły wstają miasta smagane głodem,
od wschodu zorzy czerwony sznur,
i coraz bardziej ciąży nam skroń,
a pierś zastyga jak bryła lodu.

4

W złocie wasze korony,
topole z losu dumne,
i trwacie tak wieńczone
świątyń moich kolumny.

Niby skrzydłem gołębic
liście muskają chmury,
lecz korzeń drąży ziemię,
dna sięga w czas ponury.

Cały ciepły od wstydu,
pod pniem ukryty srebrnym
nowego szukam mitu
marzeniom czułym wierny.
Fiolety, słodkie cienie,
soki pod korą żywe,
ukażcie zdrój pragnieniom,
bym uwierzył w prawdziwość.

NA NUTĘ „ELEGII ŻALU“ CZECHOWICZA

JA:

Gwiazdo biała i wonna,
od miasta głodnego daleka
wyśpiewaj wargami ze srebra
człowieka.

Oto jak cień wschodzący zza domów i świątyń bez
wicz

przechodzę zgubiony w ruinach —
błyszczą majowy śnieg,
ruiny się ciągną od Karpat po Bałtyk
i dalej bez kresu.
Po niebie obłoki płyną.
Jak trudno ludzi odnaleźć
w ludach z nie ludzkiej ojczyzny.

GWIAZDA:

Nie słuchaj ryku bomb ni kiedy wsi się palą
— to krótka przeznaczeń przerwa,
ale się ratuj
od ziemi i od nieba.

JA:

Są krzyże i hełmy stalowe, i ptactwa śmiertelny
wrzask
— pod krzyżem wiązka kwiatów.

Ja jej przecież nie widzę:
miesięczny oślepił mnie blask;
przeklinam listy bolesne,
krwią mnie ogłuszył Oświecim
i nic i nic nie widzę.

GWIAZDA:

Na niebach byłam polarnych,
kiedy potworne paprocie
do snu się kładły:
tym się pociesz.

JA:

Tylu z nas miało wolę. A jakiś szatański cud
chleby w kamienie zamieniał.
Tak bardzo małych się boję —
potężny dziejów skrót
przyszłość zaciemnia.

GWIAZDA:

Nie padam meteorem
w śmiertelnym kół obrocie,
choć mnie wabią
jeziora —
jestem nad nimi w przelocie.
Straszliwe okrzyki pawi
trwożą, horyzont krwawi.
Czuwam. Korony drzew
jak wielkie puszyste mleczce —
i płynie dzień,
jak biały łabędź płynie dzień.
Nie zasnę. Jestem.

MODLITWA O POEZJĘ

Zamyśleni przy świecy nad książką
wietrząc Boga śnimy o człowieku —
niby dźwięki organów umaczane w srebrze
spływa muzyka wieków.

Widujemy ośleple źrebięta
wśród gwiazd północnych błądzące,
złote rzęsy drgają jutrzeńkom,
gdy wiatr je trąca.

Jeszcze nie wiesz, jaki poemat
serafinów utkały dłonie,
nasłuchujesz — lecz wątku nie ma,
więc wstydem płoniesz.

Kolorowe dna oceanów
pachną mocno jak wielki kwiat —
uwieńczeni zorzą polarną
gubimy ślad.

Łanie białe krążą wśród snów,
z pobojowisk nadchodzą umarli,
granatowy rozpina się nów
na świeżej darni.

I modlimy się: wyzwól od wizji,
Panie prawdziwy,
zakosztować daj pieśni innej
jak wody żywej.

Nawiń pasmo lirycznych nici
na świetlistość niebieskich sfer,
a upadnę obalony zachwytem
w blasku skier.

ZMARŁEMU POECIE

Mokotów jest jak koncha pełna barwnych smug,
u góry ciemny granat perlami usiany,
a jeszcze większe perły u twych nóg:
to domki białe rano.

Tam wróble z ręki jedzą łaskawe jak niebo,
które wchodzi oknami, aby z nami mieszkać,
gałęzie drzew furkoczą wirem srebrnym:
nieznanych ulic rebus
ginie w ogrodach poezji.
Jak ciężko przez nie przebrnąć.

Bo Lublin tuż przed progiem. Czarnoziemem pachnie,
pagórki turkot wozów powtarzają echem,
kantyczek wabi głos,
mieni się łuska rybia w strumieniach jak tęcza.
Z bólu powstają wizje fantastycznych natchnień,
spadkami rytmów dźwięczą,
w ramiona wprost
anioł wiersza przyfrunął z pozłacanej strzechy.

Tworzysz czasem niewdzięcznym. W zarliwej
modlitwie
o ład wołasz wśród rzeczy, ludzi, zdań,

niech białą mocą spłynie na Ruś, Polskę, Litwę
piękno, niech się odezwie choć dzwonkiem u sań.

Jak ciężko. Gwiazda stuka w szybki suteryny — —
tylu, tylu przyjaciół, lecz jakżeś samotny,
mnogość kształtów, kolorów dobyć z rudej gliny
dzień poziomy pokonać, wołać wielokrotnieć
kto wydoła?

A tu głośniki ryczą. Natrętni kuglarze
sypią słowa obłudne; kłamią, ciągle kłamią.
Słowo, co pod twym piórem niby boży znak
jutrznią wstawiało ranną,
co było krwią i ciałem przeczuwanych marzeń,
w ich ustach przemienione w hypnotyczny mak.

Gardzić jednak nie umiesz, choć wyspy z koralu
i brzeg już inny świta — znasz go, znasz ze snów,
lecz nie dlatego przecież taka głębia żalu,
że śmierć wonnymi dłońmi gładzi włosów puch.

Mokotów jest jak koncha pełna barwnych smug,
lecz Lublin sercem woła —
ziola, ziola, słońca złoty kołacz —
spoczynek pośród sieci powikłanych dróg.

MARYSI

Miłe są młode wilczęta
i mają sierść puszystą,
jakże ci teraz pamiętać
zieloną przyszań?

Gwiazdy kąpały się w wodzie,
jak białe panny,
a księżyc za nimi chodził
w kwiatach dziewanny.

Gdy dotknąć dłonią jarzębin,
upadnie koral,
potoczy się krągła czerwień
w sercu wieczoru.

Brzegi, niedobre brzegi,
znowu na jawie,
jak kule białego śniegu
błyszczą dmuchawiec.

W granatach lub w mocnej czerni
zastygły buki —
O, zniszcz tę nitkę, przerwij,
co w złote smugi.

Przypatrz się biednej wilczycy,
gdy prószy łzami,
przypatrz się, dobrze przypatrz,
nie daj się mamić.

PAPROCIE

Noc biała jako piana,
jelenich rogów fontanna
wytrysła i opadła.

Kwitną, pachną paprocie,
w motyli się wiążą pióropusz,
jakże ich piękna dociec.

U stóp struchlałych modrzewi
fiolety srebrem przewiń,
kładź błękit obok czerni.

Tu w kolorach się cały zatopisz
(noc ta sama, choć inny czas),
księżyc z długich włókien konopnych
utkał las.

Aniołowie o skrzydłach z sitowia
zabłądzili w duktach i ścieżkach,
dźwigają w cynowych konwiach
ciszę niebieską.

I upoją nią i mnie, i was,
barwne kwiaty im drogę wskażą,
tylko jeszcze kilkadziesiąt miast
zginie w pożarze.

WIEŚ

Mali chłopcy lekko stopkami
szron strącali, co w sadzie kwitł,
opadała gołębia zamieć
biało jak świt.

W chatach złote płonęło drzewo.
Urzeczony fontanną skier
rudy kundel w milczeniu ziewał
pysk złożywszy na pierś.

O, jak bardzo pragnęła wieś
w ciszy nisko ku ziemi przypaść,
warkocz śniegu za oknem pleść
słuchać soków krążących w lipach.

Lecz z Zachodu wciąż pomruk szedł
i widziano krzyże ogniste.
Oszalały Łaba i Ren,
aż je musiał zamawiać Chrystus.

Opadł Stwórca groźnie jak jastrząb,
twardą skałę szponami kuł,
powstawały zburzone miasta,
nie ustał przecież ból.

Więc wybrali się chłopcy do Panny Śnieżnej,
co wśród skrzydeł motyli brodzi:
niech umilknie wrzawa oręza,
dobry pokój niechaj rodzi.

MODLITWA

Poraż serca, Ty, któryś Duch,
zwierząt stada znów w ludzi zamień
ani pozwól, by człowiek głuchł,
kiedy piękna skryje go namiot.

NOWA WIOSNA

ANDRZEJ:

Dziwność już nie zdumiewa i męczy dżungla zdarzeń.
Wysłuchani w nową wiosnę śledzimy ptaków lot
i chcemy rzeczy prostych, własny dom nam się marzy,
kilka gwiazd w nocie letnie, na ciszy wsparty most.
Oto sady otwiera jak gołąb kwiat jabłoni,
wiemy, że nie jest ważne żyć tam wśród białych zasp,
lecz trzeba dojrzeć znak, kształt własny, serce chronić,
by nas nie wessał czas.

CHÓR:

Mokre pachną konwalie, owce wiodą swe młode
w pagórki gorącej runi, pastucha słychać śmiech.
Nad ziemią zuchwałe słońce, ze słońca wszelka nowość
i wszystko z nim splecione, jak haft w misterny ścieg.

JOANNA:

Jutrzejszy dzień mnie przeraża, bo każda nowa pora
przynosi z sobą gorycz, więc jestem niby naczynie,
z którego napój wypito i stoi próżne, i trwa.
Słowa są bólu cieniem. Zgubiłam się w kolorach,
wizje utkane z powietrza powietrzem musiały
odpłynąć,
aż przyszło osłupienie, wewnątrz struchlał gwar.

ANDRZEJ:

Ciemność rozwidnia człowiek, gwar przemienia się
w mowę,
płynie strumień jaskółek poprzez niebieską gładź —
jest gdzieś cisza tworząca, a każdy z nas jak kowal
w hukach wykuwa jej blask.

JOANNA:

Wąwozy świtu, jary i lasy macierzanki
pełne, skąd duszna woń, w kruszącą strojny pychę
o nowy wołasz kształt, a wiatr porankiem
we włosach różowych gra i głosu twojego nie słyhać.
Prawdziwej pragnę pieśni, pieśni tych, którzy wierzą.

ANDRZEJ:

Niech śpiewa przeto chór wiośnie, ptakom, wybrzeżom.

CHÓR:

Wychył z mrocznego chaosu głowę jak kryształ,
spłyn ku nam na żaglach rzęs,
dotykalny, lecz nierzeczywisty,
ten sam wśród klęsk.

Który wiesz jak droga prosto,
kompas wśród wód,
pióra świetne nad ziemią rozpostrzyj
w szelestach nut.

Czy się w Bogu rodzisz, czy w ludziach,
słyszemy dźwięk.
Jeśli piersi tętentem budzisz,
jest zryw i bieg.

Z gniazda twego czerpali słabi
obfitość sił,
huczący im wlałeś dynamit,
że w ogniach szli.

Wychył z mrocznego chaosu głowę jak kryształ,
sfruń ku nam, wargom daj pić.
Święty Jerzy jesteś czy Krzysztof —
w muzykach przyjdź.

DWA GŁOSY

I

Rzeka przemian, przyływów. Stoję w wodzie po pas,
a tuż u moich stóp obłoków miękkie pyski,
załudnił wodę brzask, rozsadził brzegi czas
wartkim pociskiem.

Gdzież jestem? Dziwne stwory podnoszą ludzkie twarze
stygające w rzeźbę z drzewa: to ból tak tnie jak miecz,
więc podobnieją kształty. Czy z miecza są, czy
z marzeń,
wieczna się pełni rzecz.

Fiolet puszystych cieni umiera pośród trzcin.
Kto ptaki śpiące zna i wie, że skrzydeł liry
ucichły. Przecież dna pilnuje złoty lin
i srebrne wiry.

Wiatr w muszle puste dmie, jak w śpiewne rogi.
Słuchamy: pereł szmer — wciąż inny głos
i tylko trwania znak przed twoim progiem
nakreślił los.

Choćbyś w kielichy rąk utoczył świetnych blasków,
co z ognia są lub z ziemi, plastyczny tworzą dym —
nie zdołasz ujrzeć nic nad dwoje dłoni płaskich,
chyba że mgły.

Coraz to nowa fala, coraz to inne dno —
wzbierają kolory pawie; tyle zieleni, granatu,
piaski zapadłych wybrzeży jak fantastyczny krater
buchają krwią.

Potłukły tafle luster łosie z różowych kniej.
Wszystko, wszystko się zmienia, świetliste gasną
bryzgi,
woda staje się kwiatem, niebo pianą, a wszystkim
wschodzący dzień.

Lecz z ruchów tamtej tęczy, co gniazdo pośród drzew
uwiła, czerpiesz radość, choć grozy nie rozplącesz
i prawie w osłupieniu śledzisz, gdy wielkie słońce
leży jak lew.

I musisz dobrze słuchać upływu godzin, lat,
nim poznasz, gdzie jest kres, zachwytu czuła
przystań,
że człowiek po to trwa, by jak na śniegu czystym
wyłobić ślad.

POWRÓT

I znowu jestem z wami. Nic tu się nie zmienia.
Dzieci wznoszą na wzgórku piękne, złote młyny,
by mleć pszenicę z piasku — budują piekarnie
i pieką obłe chleby stworzone z marzenia.
Czasem przez trawy mignie cień jak obłok siny,
cień ptaka, czasem z chabrow wyjrzą rogi sarnie
niby nagle zdumienie. W opłotkach z powojów
krowy jak dawne rzeźby zamarle w bezruchu
patrzą w słońce jak w modre fale wodopoju
i słuchają fałszywych piosenek pastuchów.
Obok wsparłszy na pługu ręce jak na berle
kroczy chłop, tyran świerszczy, skiba pruje gniazda,
z których gama puszysta toczy się i perli
dźwięk, jak srebrna orkiestra, w zatopionych miastach.
Dawniej było to samo. Bóg w ciężkich fioletach
odwiedzał wieczorami staw, doliny, łąki,
na wzgórza sypiąc światło rześiste, wspaniałe,
jakbyś złote siał ziarno przez druciany przetak
powietrza. Wtedy drzewa jak ludzie śpiewały
i snem ludzkim ujęte spływały skowronki
ku ziemi, aby spocząć. Bo tu jest spoczynek —
czy wśród liści paproci, czy w gęstych łopianach
albo w niebieskich rowach, gdzie niezapominajek
tysiące kwitnie, lub wprost — w stogu siana.

Tutaj przeszłość i przyszłość nowym pokoleniom
objawić tylko zdołasz dłonią, czoła potem,
aż plecy w łuk się wygną, a oczy przemienia
w źródła ciche porosłe kwiatami tęsknoty.
Wprawdzie koguty ranne zawsze na wsi pieją
za wcześniej lub za późno, lecz nie mamy prawa
win spisywać, my, ludzie smutni i zhańbieni,
których kara dotknęła za to, że swym dziejom
nie mogli w czas wydażyć, aż wielka kurzawa
drzwi z hukiem zatrzasnęła od mieszczańskich sieni.
Przeto już się nie wstydzę, jeśli pod nogami
dziś mi się strumień pieni jak baranie runo,
ani gdy ziarna miki liczę patrząc w kamień,
ni kiedy myślę sobie, czy obłok odfrunął
znad lasu, by została widzenia przejrzyłość.
Podśluchuję więc zioła, a zapach żywicy
nozdrza głodne wypełnia. W górze niebo czyste
jest jak brama otwarta w muzyczną ulicę.

BRAT OPOWIADA

Jeśli na prawo jabłoń postawisz skrzydlatą
owocem, a na lewo krzewy malinowe,
ze środka niby z osi rzucisz jasną kratą
promieni i potoczysz koło kolorowe,
potem zaś, aby większa była radość wzroku
użyjesz kilku szkolnych kredek dla retuszu —
to otrzymasz, jak sądzisz, wierną miniaturę
wsi polskiej. Ale skądże masz wiedzieć, czy pokój
tu czy wojna gości? Że z różowych kurzów,
co nad gościńcem wiszą, lub z szarugi burej
wyjrzy nagle ku tobie śniada twarz Mongoła
przypominając dawno zapomniane kraje
albo mową znad Łaby ktoś głośno zawoła
i wtedy pada smutek. Nawet zgraje czajek
w bardziej żalosnych skwirach krążą nad łąkami
i chaty są ciemniejsze, i bledsze dziewczęta —
po chwili słychać ciche modlitwy za zmarłych,
milknie trzask karabinów, pachnie polna mięta,
a praca niby mleko nową daje prężność
ciałom tych, co przeżyli. Więc stawiają domy
z lekkich sosnowych bierwion, lśniące złotą pianą
strzechy, znoszą pszenicę jak łunę mosiężną
do stodół, nad którymi w słupach nieruchomych
trwają srebrne topole schylone ku łąnom

zbóż tak mocno szemrzących jak letnia ulewa.
Mądrość tu wielka drzemie, człowiek się odkrywa
w kwiatach, ziołach, zwierzętach, najzwyklejszych
drzewach

aż się dziwisz, dlaczego ta ziemia szczęśliwa
nie mogła dotąd wydać wielkich myślicieli,
jeno biednych proroków, wróżów i kuglarzy —
teraz znowu czekają przyjscia zbawiciela
niby ptactwo lecące ku równinom marzeń.
Spojrzy na nich, gdy lecą okryci gwiazdami,
księżyc jak ła olbrzyma w górze się kołysze.
O czymże oni myślą, biedni ludzie prości,
których noc uwolniła od wysiłku ramion,
o stogach budowanych w południowej ciszy
czy o ziemi poczętej z miłości?
Nie wiesz. Przyszedłeś do nas tak jak marnotrawny
syn, co w rosie lazurów wraca z długiej drogi.
Jest już późno i chłodno, a wiatry jak dawniej
biją w niskie okapy królestwa ubogich.

NIEDZIELA

Jak chłopcy zamyśleni nad albumem marek
śledzą barwy złotawe, zielone i modre
na mapach, odbywając dalekie podróże
przez rzeki — tam, gdzie żółwie drzemią pod oparem
mgieł, a rośli tubylcy w opaskach na biodrach
z ruin zburzonych grodów rwą czerwone róże,
tak ja, gdy mijam niegdyś widywane twarze
staram się los ich czytać, jak czyta się z książki.
Idą młode kobiety w swiergocącym swarze
jaskółek, co w powietrzu kreśląc ciemne prążki
dziergają chytre oka niewidzialnej sieci
nad jasnymi głowami, ciepły wiatr poranny
wydmuchuje pogodę jakby na organkach
na liściach starej wierzby, potem w górę leci,
by upaść znów w doliny i pasma rozwianych
włosów złożyć na gwiazdach pól, śnieżnych
rumiankach,
aż wreszcie świat bezruchu staje w letniej bieli.
Każda z kobiet w liliowe dzwonki lekko dzwoni
i każda z sobą niesie jak to przy niedzieli,
niby zamorskich ptaków puch, pęki piwonii.
Mężczyźni w ciemnych strojach, glansowanych butach
stawiają długie kroki sztywno jak bociany — — —
za nimi drobi młodzież, jak muzyk po nutach

klawiszów, gdy chce dobyć radość z fortepianu,
bo trzeba wydażyć w biegu za ojcami.
Dokąd spieszą? Czy pragną zdobywać niebios
wykute na sklepieniu niskiego kościoła,
gdzie święty Piotr otwiera posrebrzane bramy,
a anieli niebiescy w malowanych wozach
jadą obłoki wioząc na błękitnych kołach,
czy pragną prosić o coś? O już wiem, poznałem
z kosych spojrzeń, z zaciętych warg, upartych ramion...
Wczoraj lżyli się wzajem uniesieni szaleń,
pijani, bezrozumni, złorzecząc i kłamiąc,
a dzisiaj cisi tak jak biblijne jagnięta
idą razem po łaskę jak po zapach kwiatów,
by jutro znowu grzeszyć. Lecz Ty nie pamiętaj
im, Panie, ukryty pośród aromatów
lip, gdzie na Boże Ciało stawiane ołtarze
lśnią w zorzy rozchodników. Niechaj dobre moce
oddalą z kraju tego rozkosz zabijania
i niech pokarm pokoju wszystkim się ukaże,
sen krzepiący im ześlij w kainowe noce,
z drogi mlecznej spłyn ku nim w kryształowych
saniach.

ZNIWIARZE

Wykarmieni przestrzenia, srodzy i wspaniali,
jak dawni wojownicy z dalekiej wyprawy
z pól wracali do domu. Widły, grabie, kosy
świeciły niby oręż. Fantastycznie palił
się las w zachodniej zorzy, a dymiące stawy
szły ku niebu w cyranek głosach, w szeptach łozy.
I szumiał gaj olszowy, tak jak szumią pióra
na stalowych szyszakach w smutnych poematach
lat uczniowskich, gdzie święci chadzają w purpurach,
król w koronie, kapłani w bogatych ornatach
kapiących blaskiem haftów, pereł i kamieni.
Rżały strudzone konie trącając kopytem
pył, który nad pochodem niósł się niby wieniec
z krwi polskich męczenników czy z maków uwity.
Tymczasem wewnątrz białych chat (drewniane chaty
bowiem, nie zamki stały wśród rumianych sadów)
oświeślał ogień i kładł złotawe obrączki
na dziecinnych koszulkach i twarzach pyzatyh.
Dzieci w aureoli i w brzęku owadów
gotowały wieczerzę klaszcząc w drobne rączki,
bo rodziców czeka się tak jak ważnych gości.
Wkrótce zahuczą izby, wejdą nie rycerze,
ale żniwiarze bosi. Ktoś stoły wymości,
by usiedli w krąg wszyscy niby na wybrzeżu

rybacy Chrystusowi, gdy połów skończony.
A potem zajrzy w okna Wielka Niedźwiedzica
i z cicha zakolacze. W rozmaite strony
rozprysną się młodzieńcy po srebrnych ulicach.
Tylko samotni starcy na sosnowych łóżach
leżąc, długo śnić będą o losie swych synów
i słuchać bicia własnych serc jak kroków wroga.
O północy ich zbudzi niedaleki pożar,
pękające pociski w róże się rozwina,
niby uśmiech zachwyty jasnych oczu Boga.

DO BRATA

Powiedz mi albo wywróż z lotu nietoperzy,
czy zdołam tu pozostać jako jeden z wielu
tych, którym każdy sąsiad swoją biedę zwierzy,
któremu psy w podwórzu mówią: przyjacielu,
nawet wrony i kawki są jak towarzysze.
Bo chociaż stąd wyszedłem, to jednak mi trudno
powrócić, a gdy nieraz o was wiersze piszę,
to przyznaję ze wstydem, że najpierw na brudno,
aby się nie wystroić w fałsz jak w pawie pióra.
Choć równiny otwarte jak wielkie wierzeje
wiodą tam, gdzie był baśni dziecinnej początek
o tym, jak dobrzy mędracy uwięzieni w chmurach
wśród szkarłatów i ognia wstają kiedy dnieje,
a w południe śpią sobie gdzieś za horyzontem —
Wiem, że dziś jestem obcy, i mogę zrozumieć
was poprzez tragedię krwi tak samo czerwonej
jak w miastach. Tymczasem niech mi niebo szumi
nad głową gwiazd pękami, niech jarzębin gronem
wiatr mi u nóg upadnie i stopy rozwinie
do biegu, który dzisiaj każdego z nas czeka,
tylko jeszcze nie znamy, ku jakiej krainie:
cudów, chlebów anielskich — czy wzgardy człowieka.
Wieńczzone w georginie i pachnące wrzosa
niechaj staną przede mną odpustowe krzyże,

wycinanką z bibułki taniej niech szeleszcą.
O, nie wiecie, jak miło strącać ziarna rosy,
kiedy świat się zagubił w oszalałym wirze,
jak miło podsłuchiwać cmokające leszcze
lub zgadywać pogodę. Tak dawniej myśliwy
odgadywał ślad zwierza z roślin, drzew, powietrza
i czuł, że czyni słusznie, bowiem ziemskie dziwy
z ziemi są i przetrwają czas śpiewania miecza,
jak wy, którym zazdroszczę odwagi wyboru
wśród gmatwaniny rzeczy, idei, zdań, opinii.
Mokre liście mi dłonie liżą i pokory
uczą, a niebo modre nigdy nie obwini.
Może kiedyś nadejdzie dzień, że się spotkamy
naprawdę. Wszyscy razem. Cygan, Żyd, artysta
usiądą z wojownikiem jak starzy koledzy
w przedwieczarz, by posłuchać, jakie piękne gamy
świerszcze grają lub jakie złota wilga śwista
pieśni pośród rokicin rosnących na miedzy,
a potem zakosztują kęs chłopskiego chleba,
aby do pracy zdobyć siły i natchnienie.
O, wtedy, w takich latach, to już bym się nie bał
rozstania. Teraz jednak księżycowe cienie
śledzę, co są jak hafty srebrne na fiolecie
nocy i rosną wizją, kształtem coraz nowym.
W wodzie pluszczą rybacy stawiający sieci.
Mgła opada. Gdzieś z obór — słychać, ryczą krowy.

PAŹDZIERNIK

Oto spada ku nam październik
liściem, ptakiem, może gońcem złotawym,
na podwórzach modlą się wierni
i psy się włóczą kulawe.

Pod oknami mgły stają śpiewne,
dymy turkoczą w kominach,
furgonami gdzieś wiozą węgiel
obcy ludzie odziani w siność.

Po tramwajach w czarnych mantylach
damy zawodzą dyszkantem,
kapelusze koloru lila
skaczą, tańczą w takt muzykantek.

Zagadkami ulice płyną,
czerwień domów po rogach czyha,
zastrzelony leży pod rynną,
z odrzuconą połą szalika.

Skrzypią haki lotnych karuzel,
wiatr odwraca twarz jak przechodzień,
ktoś dziecinny popycha wózek
i kasztany lecą jak co dzień.

I gromadzą się chmur kolumny —
nowe miasto w górze odbite,
gdzie aleje jak dźwięku struny,
powiązane z muzycznych pytań.

ROZMOWY Z PRZYJACIÓŁMI

To tak jakbyś przerzucał zlej powieści karty.
Wiesz wszystko: kolor oczu, nosa kształt i ciepły
wdziek,

którym smutny bohater uwagę przykuwa,
niemądrych faktów kolej, rozdziały pogardy,
białe noce, co lecą tak czule jak śnieg
na barki czytelnika, jeśli umie ufać,
aż wreszcie światło zgaśnie. Wtedy tylko szmery,
niby letnich owadów brzęk są rozmów cieniem
i widać chłodne niebo wygięte jak kielich
i mgłę tak nieobjętą jak ludzkie cierpienie.
I odchodzą od ciebie genialni stratedzy
na kształt pawi. Wyniosli, niby świetnym piórem
połą płaszcz zaświecą na poręczy schodów,
aby zginać, jak giną wszelkie źródła wiedzy
sprzed oblicza nieuków. Gdzieś kamienne mury
wchłoną ich niby bramy cienistych ogrodów.
To przyjaciele twoi. Ale nigdy gniew,
co nieraz bodaj cienką nitką jakby trzmiela
bzykaniem w sercu wre, nie zmaci czoła,
bo rozumiesz, że oto pośród nagich drzew
plakaty ich imieniem będą głośno wołać,
że nie zjawią się kiedyś (chyba mocą wcielen
w kręgu nowych pokoleń, być może szczęśliwszych).

Jesteś sam. Gwiazdy wchodzą przez okna jak ludzie
i żal się coraz wzmacnia. Więc myślisz o wicherze,
co przewraca twe wnętrza i kopie jak w rudzie —
a potem znowu myślisz o owej powieści,
z której, gdy zdjęć powierzchnię, co szpeci jak rdza,
anioł prawdy wnet skrzydłem po kartkach szeleści
lejąc promienne światło, a promień ten trwa.
Lecz jeszcze bardziej ciężko. Wspominasz. Daleki
niby z odludnej wyspy z własnego pokoju
rękę chmurną wyciągasz, ażeby pożegnać,
niby wędkę wzrok rzucasz pod nieznane brzegi,
gdzie tak wiele postaci jak rzędami stoi.
Aż nagle kolor oczu, włosów błysk czy powiew piękna
przesuwa się po ścianach jakby po ekranie —
zszedłszy w siebie, znów wiedziesz niemądre rozmowy
w gronie przyjaciół — niemych, i jest snu oczekiwanie,
co jak płomień palący, jak miłość surowy.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Książki. Książki wokoło. Tak jakby obłoki
białe sprzęty z niebios na drewniane półki
i czekały w milczeniu, aż przyjdą wróżbici
odgadywać z nich losy. Bowiem zawsze bogi
mówiły chmur układem lub lotem jaskółki
albo śladem złotawym, co z woskowych nici
zostaje, przemieniony w fantastyczne kształty.
Na stole płonie lampa jak księżyc pod kloszem
mgły, wśród której się cisną jak spędzone gwałtem
krzesła. Drży niby gwiazda wystający z kosza
od śmieci brzeg papieru. Na biurku piór kilka — — —
Rozmawiamy o wojnie, a potem o wierszach.
Co mają być tak proste jak nasza rozmowa,
która zresztą na chwilę zupełnie umilkła
i czekaliśmy obaj, aż jakaś myśl szersza
narzędzie stworzy z kruszcu niby świetny kowal.
I była wtedy taka właśnie atmosfera
jak w sadzie, gdy na jabłko mające spaść z drzewa
spogląda bladą twarzą dziecko strojne w uśmiech.
Jabłko tymczasem, jak to zdarzało się nieraz,
kołysze się i niebu samotnemu śpiewa,
aż w różowym zachwycie wśród gałęzi uśnie.
Więc wciąż siedzimy niemi. Bo po cóż kulawe
dźwięki z pragnących supłać ust, jeśli tak blisko,

jeśli słyhać już wszędzie, jak huczącą lawę,
jeśli w stołku popsutym gra, oświeśla wszystko?
Nagle, jakby znużony zbyt długim czekaniem,
zaczęłeś o poetach dawnych. Siedemnastowieczni
kupletowi śpiewacy w srebrzonych perukach
zachłystując się kpina (nawet gdy swej pannie
składają hołd) — podeszli ku nam i bezpieczni
położyli się milcząc w starodawnych drukach.
A potem jakiś stary król pełen powagi
wonią mórz przesiąknięty, ubrany w muszelki,
zszedł z książek niby z wyspy, u której stóp wraki
rozbite w piasku leżą, i szeptał, gdzie wielkość.
Zrozumieliśmy przeto, że cień Odyseji
przesłonił sobą wszystko, jedyny, olbrzymi,
równie miły starcowi, jak i oku chłopca.
Wtem wiatr uderzył w okno niby znak nadziei,
gdzieś po ugorach polskich zadźwięczało imię,
piaski kwitły, czar mieszkał w kartoflanych kopcach.

Z TYM, KTÓRY W NADRENI

1

Tak malejemy z wiekiem. Nieskończoność śniegu odbiera nam odwagę, że tylko jesteśmy niby drobne owady w wielkim pudle z watą i nieraz gdy ściskamy wiernej dłoni przegub, a mróz ubiera szyby w puch lodowej pleśni, nawet wierzyć nie śmiemy. Każde nowe lato wycinało z nas bowiem nową gałąź snów. Więc jeśli chłopskie sanki gdzieś na białej drodze w dzwonki niby w dzbanuszki szklane smutnie dzwonią i dochodzi z oddali ryk zgłodniałych krów, wspinamy się na palce, by na przekór trwodze słuchać okropnych szumów, co z rzeczy niebieskich przemienionych na ziemskie pochodzą. Jabłoniom tymczasem śnieg przysłonił pąki tak jak oczy, że rażone jasnością jak piórem anielskim stanęły skamieniałe. Lecz przez nas się toczy jak przez kruche naczynie strumień, ziab czy ogień i miłość się wypala płomieniem złowrogim. I myślimy o tobie, nad którym w Nadrenii dziś samoloty warczą, i śpiewamy pieśń słabości. Tak ją nazwą ci, co przerażeni nieśli w kłamliwych ustach najpiękniejszą wieść nie przeczuwając nawet, że z pychy wytryska jak ze źródeł trujących. Ty znasz gorzki wstyd,

który język nam wiąże, i dobrze pamiętasz
konie spętane w Brusie. Jak to księżyc zbrzydł
i łąki były straszne jak pobojowiska,
a nad nimi jak wielki ptak cisza rozpięta.

2

Sfrunąłeś ku nam ze śniegiem. Nie ptakiem ni listem,
jeno łaską przyjaźni żarliwej jak promień.
Niebo jak szary kamień nabijany miką
opadało ciężarem gwiazd na ziemię mglistą,
gdzie stały małe chaty całe w złotej słomie
splamione nocną bielą niby kwiatem gryki.
Mrok gęstniał. Tylko świecy wilgotnawy blask
znużone oczy gładził i pomagał słowom
dojrzewać niby wielkim, puszystym owocom.
Za oknem znowu księżyc, lecz teraz jak kask
wspaniały. I widziałem jak skinąłeś głową,
niby nieśmiały czyniąc znak, że inną nocą
przyjdiesz, bowiem w tym miejscu nic już nie istnieje
oprócz twojej tęsknoty. Więc pytałem szeptem,
gdzie są południa sławy mających nadzieję.
Wiatr niby na organach srebrnych grał jak przedtem,
kiedyśmy budowali zuchwałe marzenia
o poezji, o chlebach jasnych, co jak grad
letni spadać miały w śpiewie wypełnienia.
Dziś wiemy, że słabości cień jak tuman kurzu
przesłaniał nam poznanie rzeczy i że świat
był jak jabłko okrągły, jak pragnienie duży.

3

To nie gorycz. Jest bowiem także ludzka radość

z samego odkrywania tego, co nieznane,
choćby najstraszniejsze było. Przeto starcy
z uciechą na powietrze drżące dłonie kładą,
aby badać motyla bieg lub jak atrament
czarne niebo odgadnąć i nieraz jak narcyz
kipi weselem głowy biel, jeśli wywróży
nieszczęście. Przyjacielu, po cóż ściagać czas
i nierozsądnym często czynem mierzyć siebie
samego? Wrócisz może jak z trudnej podróży
rozumiejąc. A wtedy nawet martwy głaz
lśniący pianą porostów swe usta otworzy
i w zdumieniu usłyszysz, jaki faktów przebieg
cię minął i tak będziesz jak w pełnej komorze,
skąd czerpać tylko wzbrania nieśmiałość wyboru.
Teraz odejdz. Niech wiatru lament niby trel
muzycznych opowieści zachwytem zawisnie
nad tobą i uciszy samotność wieczorów
nadreńskich. Mróz się wzmaga. Wiosną złoty trzmiel
przyniesie garstkę nowin o smutnej ojczyźnie.

4

Okiennic ciche granie. To chyba ostatni
raz wśród nocy dzisiejszej stukaniem mnie budzisz
Poprzez drzwi uchylone w sąsiednim pokoju
na wigilijnym drzewku drżą światła jak w matni
w krążkach słomianych sznurów. Więc wciąż niby
w złudzie
kroczymy coraz mniejsi. Któż potrafi pojąć
milczenie ziemi, śniegu czystość i brzęk słów,
które przez nas przechodzą, ale już nie mogą

nas dotknąć? Kto odnajdzie zgubioną dalekość?
Jedynym pewnym dźwiękiem jest szczekanie psów
i świst sanek sunących zasypaną drogą,
i fiolet, gdy nad nimi kołysze się lekko.
O, jakiż wielki teraz żal, jeślim za młodu
z wąpiących drwił, tchórzostwem zowiąc to, co niesie
odwaga, utracony znów powraca wzrok,
że błyszczy ślad człowieka na przestrzeniach z lodu,
wiją się niby nitki wątle ścieżki w lesie,
jutrenki złoty warkocz spada w chłodny mrok.
O, jaki żal. Z choinki błękitne pawiki
i purpurowe jabłka lecą. Pojednania
nadchodzi czas. Posągi wykute z myślenia
powstają niby takty kamiennej muzyki.
Przyjacielu, pamiętasz? Pagórek się kłania,
srebrem faluje żyto i rozkosznie w cieniach
bruzd poleżeć w południe. Kieleckie jest piękne.
Oto dziewczyna idzie z dzbankiem pełnym mleka.
Śmiech jej ginie — to pszczoły ukryły go w brzuku
jak w gaju. Dobrze wiemy, jak trudno jest czekać.

POLEGŁYM

Zamyślony na liściu chrząszcz,
ziemia głucha jak kamień
i komarów złotawy gąszcz,
i ludzka pamięć.

Krople deszczu wymyły potok,
tydzień temu były was w twarz,
rośnij, trawo, murawo, otocz,
poległym gwarz.

Niech słuchają śpiewania rzek,
ptasiej muzyki,
którzy byli, gdzie bywał lęk
przyszedszy znikąd.

Czasem turkot chłopskiego wozu
mignie jak cień,
grób wystroi w płomień i fosfor
gasnący dzień.

Zamyślony na liściu chrząszcz,
wiatrów majowych granie
i komarów złotawy gąszcz,
i twarde spanie.

GŁOSY ZIEMI

Mówisz cicho jak zawsze. Jakbyś bał się spłoszyć
myśli, która na chwilę usiadła pod dźwiękiem
niby pod baldachimem woni. Poza nami
gdzie w dole miasto brzęczy, przekupki chleb z koszy
sprzedają i śnieg pada. O, jakże są piękne
światy słów, jakże lekko unoszą się bramy
architekturą pojęć wiązane, mistycznym
dotknięciem wiary niby rzemieślnika dłonią
zamknięte w form skończoność. Stamtąd blask liryczny
niby z Raju Dantego podpływa ku skroniom
i widać, jak planety z uśmiechniętą twarzą
pod zamyślonym niebem o świętości gwarzą.
Lecz w dole miasto brzęczy. Pędzą brudni chłopcy
na hulajnogach. Pragną odkrywać polarne
mroki śniegu, a place jak martwe jeziora
śpiące wśród trzciny domów są dziwne i obce
i wiatr o nie uderza, szkielety pod darnią
leżą gniewne i palcem wskazują, że pora.
Tymczasem ty pośrodku cudownej harmonii,
spiętej sylogizmami jak akordów wartkim
rytmem, nieznane zdania jak uśmiechy ronisz,
a zachwyt, niby w dziecku, gdy przewraca kartki
pierwszej książki, wciąż rośnie. Czas jakby zaginał,
ciało drży, gada wieczność. Lecz co jest przyczyną

tego odejścia od nas? Może nacisk świata
był tak wielki, że tylko ciszą teologii
spodziewałeś się wstrzymać to, co już upadkiem
zagroza? Czy trwasz może jak żołnierz na czatach,
który spogląda w gwiazdy zapomniawszy trwogi
i gardząc biegiem rzeczy w skupieniu gdzieś gładki
firmament bada, aby potwierdzić istnienie?

Odpowiedz. Myśli twoje są dla mnie jak cienie
tamtych klonów na jezdni — pozornie realne,
że mógłbym je powiązać w snopy, lecz niestety
treść ich zwolna wygasa, wreszcie dotykalne
są tylko płaty śniegu i wiotkie fiolety.

I rośnie we mnie jakieś wielkie przywiązanie
do codzienności biednych ludzi, do turkotu
wozów, do uliczników, gdy gwizdzą na palcach
ku lecącym gołębi stadom, słucham grania
rynien, napisy śledzę wśród murów i płotów,
myśląc o tych, co siejąc miłość padli w walce.

DESZCZ

Oto dzień się rozwija i jest niby kielich z mętnego szkła, zbyt pełny a może zbyt pusty — drobne zawiera treści, choć wielkie ofiary i stąd zapewne trudno nam wypić go do dna. Niby fortepianu dźwięki upadną wnet krople deszczu, który obmywa, lecz wcale nie goi, w atmosferze żywego srebra będą żeglować szare pasikoniki czy ludzie zmęczeni. Poły płaszczy, a może skrzydełka maleńkie, nastawione ku wiatrom przeciwnym, poniosą rynsztokiem wspomnień ciała półżywe ze zgrozy.

Wspomnienia. Rąk nie brudźmy próbując wysupłać z nich owoce pociechy, bo lepiej zamilknać, nie gryźć własnego serca, które przecież gniewem jest jednym! Pamiętajcie, ostatnio na rynkach cena gniewu podskoczyła w górę, że nawet go kupić nie można. Melancholię natomiast za darmo oddają z odniesieniem do domu rzeźnicy, bo zgromadzili olbrzymie zapasy i toną w nich sami, cóż dopiero wam powiem o innych, o tych, którzy „Anhellego“ czytują przy świeczce, o tych, co wyszli z domu oglądać umarłych, aby powrócić z twarzą opuchłą od płaczu. Deszcz ich zmoczył, usiedli przeto na tapczanach, niby smutne domowe zwierzątka,

czekając, kto im gniazdo uściele, muszą bowiem zasnąć i o miłości marzyć pachnącej lawendą.

Ale dość już narzekań. Chętnie bym zaśpiewał hymn do deszczu, lecz zbrakło mi słów dosyć pięknych.

Pewnie je zostawiłem przed domem mojego dzieciństwa, w jaskrach złotych, co rosły tak bujnie na łące, albo w wierzbie płaczącej pod oknem.

*

*

*

Nie słuchaj, nie słuchaj nocy,
gdy w gwiazd przyptywie
niebiescy strącają prorocy
szronu igliwie.

Gdy księżyc z rogów jak z kwiatów
sypie uroki,
od pustki, od złudy ratuj
własny niepokój.

Oj, ciężko z jeziora łęku
wyłować hasło,
jak mieczem od próżnych dźwięków
dłonią się zasłoń.

Wszystkim nam lęgną się w trzewiach
blaski i pełnie
i czas każdego z nas przewiał,
lecz coraz ciemniej.

Tylko gdzieś w mózgu wirują
niby wrzeczona
sylwetki ludzi i ruin
na nieboskłonach.

Po cóż więc kochać uparcie
ton tamtych szumów,
wargi zacinać i gardzić,
gdy zgiełk i tumult.

PIANIE KOGUTÓW

Gdy o świcie na złym posłaniu
od snów chora toczy się głowa,
nawiedzają nas swoim pianiem
koguty z Mokotowa.

Czy przez okna szczelnie zamknięte
przemknęły, czy przez kominy
nie wiem, nie wiem — tylko pamiętam
brzeg nieba siny.

Pod sufitem, gdzie gwiazd odbicia,
dzioby kreślą znaki bolesne,
jakbyś pasmem zatrutych nici
omotał przestrzeń.

Biel podpływa i srebrny szelest:
są, wirują jak cień na ścianie,
krzykiem wzdęte gną się gardziele
w znak zapytania.

A my niemi. Od sennych marzeń
odwracamy ciała w malignie,
wstydem zdjęte kryjemy twarze
i krew w nas stygnie.

Wreszcie ktoś nam oczy otwiera —
już ich nie ma, frunęły w ściany.
Niby jasna twarz bohatera
jest czas poranny.

*

*

*

Padłeś od kuli. Gdzieś z przydrożnych drzew
leciały liście, jak zwykle w jesieni
i czerwieniły się jak twoja krew
wśród ciszy ziemi.

W gajach lubelskich pagórków grał pieśń
cieniutki strumień,
zaśpiewała, zapłakała wieś,
a dąb zaszumiał.

*

*

*

Oto przyszedłeś malutki jak pięść,
w południe wiosną pachnące i ziemią,
gdy samolotów i żórawi chrzęst
ponad dachami świergotał na przemian.

Kiedy pierwszemu graniu letnich pszczoł
i deszczu kropłom pogodnym jak uśmiech
wtórował świst i drobne krople kul,
a matka z trwogą pytała, czy uśniesz.

Czy może będziesz tak jak my u wrót
czuwał bezsenny, uparty i gniewny,
aż w pomruk żył zapadnie światłem chłód,
aż w srebrze warg zabraknie pieśni rzewnej.

LIPIEC 1944

1

Lipy miodem złocone, pachnące aleje,
a wszędzie widać ślady spracowanych rąk,
w kłosach zboża czy w kwiecie co barwą się śmieje,
nawet w trawie zielonych łąk.

Ludzie są tutaj cisi i mali jak krople
w kamieniach żłobiące znak,
w przedwieczern gromem huczy srebrna nieba topiel,
oczy mruży szkarłatny mak.

Miesiące — to rocznice narodzin i zgonów,
które czci się bez łez i słów:
wszak nikt nie żyje wiecznie, jedynie imiona
pozostają wschodzące jak nów.

2

Synkowi

Chociaż leżysz jeszcze w pieluszkach,
uśmiechami wkoło mnie chodzisz,
jasne niebo i jasny uśmiech,
złote serce lipcowych godzin.

Bąk blaszany gra na podłodze,
inne bąki w powietrzu grają,
w okno lato stuka owocem,
słońce — wielki, promienny pająk.

A ja patrzę w ciebie lub składam
kiepskie rymy o oczach krowich;
gdy świat twymi rączkami gada,
nie chcę słuchać już żadnych nowin.

Wiatr przynosi głuche wystrzały,
ktoś piosenkę żołnierską śpiewa,
lulaj, lulaj, syneczku mały,
zapomnijmy o ludzkich gniewach.

3

Na niebie ptak i owad
wirują — punkty w przestrzeni,
pełne jak chmura gradowa,
powietrze nabrzmiewa cieniem.

Ścieżkami mrówki jak ludzie
drepczą z żywnością i smutkiem,
wiatr tylko w liściach się nudzi
śpiewając po cichutku.

A kiedy wieczór nad strugą
w gwiazdach jak w złotym sianie,
słyszać armaty zza Bugu,
chrzęst kłosów, ryb pluskanie.

4

W gałęziach żywe srebro
kos przelewa czy szpaki,
klon nad wodą się przegiał
ku kwiatom, ziołom jakimś.

Na mostku złoty upał
w złote patrząc dziewanny
od rana sobie usiadł
cały w słońcu skąpany.

I cicho jest i sennie,
nic pogody nie burzy,
jeno ludzkie cierpienie
wznosi dłonie ku górze.